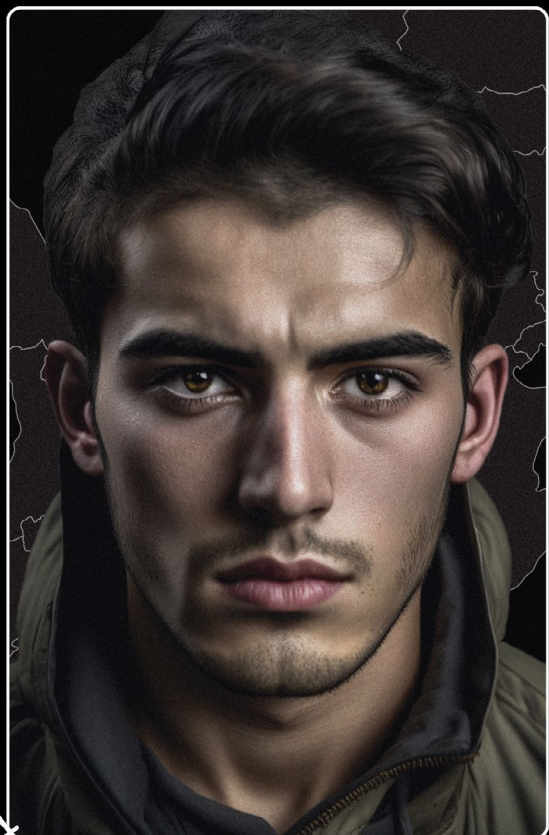


UOHOZAO



Piotr B. Sarmini

Piotr Bonawentura Sarmini

UCHODZĄC

Wydawnictwo: czarny kajet
Redakcja i korekta: Patrycjusz Kisła
Okładka: Filip Ostojski
Zdjęcie na okładce: wygenerowane przez
AI Midjourney & Bonawentura Sarmini
Skład i łamanie: Piotr Sarmini

Copyright by Piotr Sarmini 2023[©]
All rights reserved
the moral law of the author has been asserted.
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-83-949876-2-6

ISBN 978-83-949876-2-6



Ten oraz pozostałe teksty i wydawnictwa
autora: BEZ PRZEKAZU (2018), MIĘSOPUST
(2021), UCHODZĄC (2023),
znajdziesz na stronie
www.czarnykajet.com lub
www.czarnykajet.pro
Książka dostępna także w formie audiobooka
oraz ebooka.



Spisując:

list Ihaba, 2 maja [...]
hard life
list Ihaba, 2 maja, część druga [...]
kwasując
procesując
drugi list Ihaba[...]
przygotowując
wypożyczając
testując
śniąc
wyruszając
zmierzając
sobotując
wągry
przekraczając
trzeci list Ihaba, [...]
srebrna Serbia
hostelując
część 2.
czwarty list Ihaba, [...]
poznając
planując
poniedziałkując
wtorkując
środując
xxx
piąty list Ihaba, 21 lipca 2021,
Abcoude, Niderlandy

motta

1. Każde Państwo Członkowskie przyjmie właściwe sankcje wobec:

a) każdej osoby, która umyślnie pomaga osobie niebędącej obywatelem Państwa Członkowskiego we wjeździe lub tranzycie przez terytorium Państwa Członkowskiego z naruszeniem przepisów dotyczących wjazdu lub tranzytu cudzoziemców;

**DYREKTYWA RADY 2002/90/WE
z dnia 28 listopada 2002 r. definiująca ułatwia-
nie nielegalnego wjazdu, tranzytu i pobytu**

188. Wiele jest schronień, są góry, są lasy, są też gaje, drzewa, świątynie i kurhany, do których ucieka lud wystrachany.

189. Nie są to bezpieczne schronienia, nie są to najdoskonalsze schronienia. To nie przez

takie schronienia można wyswobodzić się od wszelkiego cierpienia.

Dhp. 188-189 – Podstawy Dhammy

Wierzących i czyniących dobro uraduj wieścią, że dla nich będą Ogrody, wśród których płyną strumienie.(...)

Koran, werset 25, Sura 2. Krowa

So if you need a hero (if you need a hero)
Just look in the mirror (just look in the mirror)
No one's gonna save you now
So you better save yourself
And everybody's hurting
Everybody's going through it
But you just can't give up now
Cause you gotta save yourself

Kali Uchis – *After The Storm* ft. Tyler, The Creator, Bootsy Collins

list Ihaba, 2 maja [...]

Drogi,

niech Archanioł Dżibril ochrania Cię i zmyje wodą troski z twoje czoło.

Jak się masz? Wszystko dobrze? Jak twoja matka, jak jej matka? Jak one żyją w Boland?

Prosiłeś mnie abym napisał ci o moja przygoda, ale nie jest mi łatwo tego zrobić. Powrót do tamtych dni, nawet m yśłami, napawa moje serce lękiem – a ja nie chcę się już nigdy więcej bać. Mimo tego cały czas, nawet teraz, czuję strach. Czego się boję?

Napiszę to dla Ciebie aby oczyścić się z brudu, którym nasiąkła moja skóra, buty i myśli. Nawet szczęśliwa czapka. Jestem brudny, bo we mnie odłożyły się uderzenia, cierpienia i wrzask tego świata. One spadły na nas jak popiół; zakryły nam twarze i teraz nikt prawie nas nie dostrzega. Jesteśmy lasem.

Piasek w skarpetkach, podeszwach, ścisk w żołądku i nagar w płucach – zebrane w siedmiu krajach Europy oraz dwóch Bliskiego Wschodu, z których, jeden, ten nasz – traci krew. Czytaj. To moje brudy.

hard life

– *Brother, how are you?* – pyta z uśmiechem Ihab, mój brat pyta, gdy dzwonię do niego późnym, marcowym wieczorem, w jednej ręce trzymając telefon, w drugiej odpalonego skręta z ziołem i **płatkami róży** z a m i a s t **tytoniu**. Odpowiadam mu, że *fine*, on też że *fine* i wszystko byłoby *fine*, gdyby naprawdę było *fine*, ale nie jest *fine* i dlatego trzeba przejść do rzeczy i sprawić aby *fine* znowu stało się naprawdę.

– *Brother I need your help* – mówi Ihab poważnie, więc odkładam jointa z ziołem i płatkami róży z a m i a s t tytoniu do popielniczki ręką lekko roztrzęsioną, chyba z zimna.

– Czy znasz Baja city, na Węgrzech? – pyta.

– Badża? *Let me see...* tysiąc kilometrów od *Warsaw* to jest.

– *Yes*. Czy możesz *come* do Baja, za dwa dni i zabrać mnie *and my friend to Germany?* – Sięgam po jointa znów i łapię buch. Ihab, kontynuuje:

– Jestem w Serbii, razem z przyjacielem – oko jego kamery, bo rozmawiamy na whatsappie, z nimi zawsze rozmawia się przez kamerę na whatsappie, pada na młodego faceta w traperskich butach

i kurtce z zielonym, cyfrowym moro, a ten zagaja do mnie z uśmiechem żółtych, nikotynowych zębów: *hi! How are you?*

Mówię, że *good*, on odpowiada, że też *good* i wydaje się nie kłamać.

– Dzisiaj złapali nas na granicy i odesłali z powrotem do Serbii. To nie był pierwszy raz. To już czwarty raz.

– Jak to was złapali, kto was złapał?

– Policja. *Police catch us* – gdy to mówi, to naprawdę się dziwi, podnosi brwi ku górze (lewą naciął sobie maszynką, że wygląda jak szrama, a może to jest szrama), jakby nie dowierzając, że policja w ogóle istnieje. Porusza mnie, że gdy to mówi, to jeszcze pamięta i wie, że to wszystko nie jest normalnym życiem.

– Przechodziliśmy nocą przez las. Rano złapali nas na polach, po węgierskiej stronie. Teraz jesteśmy w hostelu u Elein. *This is hard life brother.*

Spoglądam na półnągą Me-Gan zanurzoną w *srebrzystym* fotelu. Blond włosy ma rozrzucone po ramionach. Ładnie okalają jej kwadratową twarz, która byłaby ciężka gdyby nie zielone oczy i haczykowaty nosek wyściubiający teraz zza katalogu PRL-owskich mebli, który Me-Gan kartkuje z fascynacją, marzeniem i nieokreśloną jeszcze

projekcją przyszłości. Za niebieską, rozpiętą koszulą falują jak okręty jej dwie ogromne piersi, niżej, spływa rzeka długich, nagich nóg. Ciepłe światło przypodłogowej lampy jest areną jej młodości, nonszalancji wyrażanej w każdym ruchu i geście. Za tło ma lśniąca refleksami neobarokową kamienicę na ulicy Bagatela. Bezgłośnie podają jej spliffa z ziołem i płatkami róży (które przywiozła) z a m i a s t tytoniu, a ona patrzy we mnie zielonymi oczyma (które jak mówi ma dwa procent ludzi), wyciąga się; jej palce delikatnie dotykają moich palców, przejmują jointa. I zaraz pada, rozkłada na fotelu, tonie w chwilach ulotnego szczęścia.

– Tak. *It is hard life.*

– Teraz mamy nową trasę od *new szmugler* – kontynuuje Ihab – wyślę ci ją.

Wysłała *screenshot* z wycinkiem mapy google na odcinku granicznym. Tkwi w niej kilkadziesiąt pinezek wyznaczających punkty przejściowe; ostatnia, finałowa jest oznaczona serduszkiem.

– *Brother*, oto o co cię proszę: musisz przyjechać do Baja, spędzić tam noc, najlepiej w hotelu. Żeby nie wzbudzać podejrzeń. Wynająć węgierskie auto, żeby nie wzbudzać podejrzeń, a rano, około szóstej odebrać nas z serduszka szybko, jedna, dwie sekundy, aby nie wzbudzać podejrzeń. Czy możesz to dla mnie zrobić, bracie?

– Hilton *or* Hayat?

– *What?*

– Hilton czy Hayat, który hotel w Baja wybrać? Auto na Węgrzech to raczej maserati, opcjonalnie porsche w razie braku dostępności. Potrzebujemy szybkiego. Tylko nie wiem, czy mają czterodrzwiowe? Zapytam na miejscu. Sprawdzę.

Gestem zażądałem od Me-Gan *spliffa*, zrobiła lekko obrażoną minkę. Zaciągnąłem się przed kamerą. Mój brat zaśmiał się, wyciągnął z paczki czerwone marlboro i uderzył filtrem trzy razy o paznokieć kciuka. Na prawej dłoni miał wytatowaną *pięcioramienną gwiazdę*. Kontynuował:

– Wiem, że to bardzo wiele, ale to nasza jedyna szansa. Nie możemy zostać dłużej w Serbii, kończą się pieniądze. Przemysłownik chce za przewiezienie 9000 euro, za przeprowadzenie przez las 1000, ale o pieniądze się nie martw. Mamy je. Potrzebujemy ciebie.

– Jaka jest pewność, że nie złapią was ponownie i nie odeślą?

– Pójdziemy inną drogą, tą którą ci wysłałem. *This is* dobra droga bracie, ludziom się udaje. Nie wracają.

– Kiedy chcecie ruszać?

– Za dwa dni. Musisz być na miejscu w sobotę rano. *In Baja*.

– Tysiąc kilometrów od Warszawy.

– Tak, a dokładnie 80 kilometrów na południe

od Baja, przy granicy z Serbią, tam, gdzie postawiłem serduszko. Czy możesz to dla mnie zrobić *brother*?

Życie moje rozpoczęło się niedawno, a już się jakby wyczerpało. Po sukcesie mojej drugiej książki zatytułowanej "Ostatnia dziewczina" - powieści ukazującej niebyłą, wielką miłość każdego z mężczyzn, do ostatniej z jego kobiet, którą kochał naprawdę, nie musiałem robić już wiele. Miałem 27 lat, na nieoczekiwanym sukcesie książki wydanej przez BAW zarobiłem w ciągu roku 100 tysięcy złotych polskich. Może niewiele, ale do tego dochodziły wyjazdy sponsorowane przez wydawnictwo na targi książek, spotkania autorskie, zaproszenia na stypendia i koprodukcje, bankiety i aura glorii, którą udawało mi się niekiedy podtrzymywać za pomocą średnich ilości prosseco i dużej ilości gum nikotynowych. To paradoksalne, ale ci, którzy mają najwięcej kasy, nagle wcale nie potrzebują jej wydawać, gdyż wszystkie ich elementarne potrzeby takie jak pożywienie, picie, podróże i prosseco są zaspokajane z nadmiarem przez instytucje, firmy i wyrastających spod ziemi "fanów".

Pokonałem zgubny nałóg palenia papierosów. Myślę, że bohater "Serotoniny", ten o pedalskim

imieniu, a z gęby bardzo męski (jeśli tu Huellebeq pisze o sobie to ewidentnie sobie naddaje) jest żenujący w swych wyznaniach o impotencji. Rozpoczyna dzień od trzech papierosów i kawy, a żali się, że mu nie staje ze względu na przyjmowany lek antydepresyjny. Potem wrzuca jakąś definicję z Wikipedii o serotoninie i neuronach 5-HT1 i uskarża się na brak libido. Gdyby Herkules palił dwie ramy szlągów dziennie (szczęśliwie Europa do XVI wieku nie znała tytoniu) to stawałby mu najwyżej koń - dęba, a z depresji nie wykonałby dwunastu prac.

Od nikotyny jako takiej nie chciałem się uwolnić – dawała mi gorycz i koncentrację odpowiednie do tego by pełnić archetypiczne role pisarza, by z jednej strony cieszyć się zapachami i smakami potraw, bez kompleksów szeptać do ciekawskich uszu i z zainteresowaniem mijać palących przechodniów, z drugiej strony krzywiła twarz; nikotyna pozwalała nieco odpływać i mieć coś swojego, co bez wyrzutów mogę ćpać nawet przed wejściem do telewizyjnego studia. Obecnie zaspokajałem się obserwacją palących – dawali mi szerokie wrażenia estetyczne: palacze zabiegani i nieuważni, palacze romantyczni stojący udrapowani płaszczem na szczycie zamkowych schodów, palacze rozmowni i małomówni, głośni, cisi, egzaltowani, pijani, biurowi, szybcy, wolni, niechlujni, uważni – ja kiedyś byłem każdym z nich i w każdym z nich odnajdywałem

dawną część siebie. Wystarczyło mi popatrzeć, aby napalić się zupełnie.

Lubiłem używki i w moim życiu było ich wiele. Spróbowałem nieomal wszystkiego z oficjalnej listy, poza opioidami i benzodiazepinami, bo też nigdy nie miałem potrzeby zbijania swoich nastrojów za pomocą używek, "łapania chillu", "wyluzowania", czy innych pierdół, gdyż byłem z natury człowiekiem spokojnym i wołałem raczej rozpalać ogień w duszy niż tłumić go.

Kokaina czy amfetamina nie przynosiły mi jednak pożądanych efektów jakie można spotkać w filmach – ekscytacji, podniecenia, dzikiej energii. Sprowadzały mnie wyłącznie do funkcji mentalnych, odcinając nieomal zupełnie potrzeby ciała, które na haju psychoefedrynowym wydawało się balastem zupełnie niepotrzebnym. Chciałem być samym umysłem, który pływa w przestrzeni i żywi się sobą samym. Po kokainie byłem myślą – klarowną i ostrą, za to pozbawioną zupełnie poczucia humoru. Dopiero z domieszką alkoholu można było otrzymać pożądane efekty w postaci nadmiernej beczelności, siebie pewności i jako takiej rozrywkowości, która, niekiedy kogoś ujmowała, częściej, jednak obrażała.

Jointów prawie nie paliłem wcale odkąd skończyłem dwudziesty rok życia; przyprawiały mnie o paranoje, wprowadzały w myślowe pętle. Nie

potrafiłem po nich wypisać z siebie choćby jednego dobrego zdania, kreśliłem i poprawiałem nieustannie, nic nie wydawało się trwałe i pewne, nic doskonałe.

Potem na miesięcznym stypendium artystycznym w Wiedniu odkryłem grzyby. Zaoferowała mi je pewna szamanka, której małą zerwałem podczas stosunku nad brzegiem Dunaju. Poleciała mi zjadać grzyby z dołka na swoich plecach, tuż nad kością ogonową, kazała je lizać, pożerać, całować się po plecach i pośladkach.

Potem karmiliśmy dzikie łabędzie skąpane w słońcu, a ja poczułem jak mój płat czołowy rozrasta się, pęcznieje, jakby chodząca w jego wnętrzu tarantula zaczęła przędz mi w czaszce gniazdo z białych, grubych nici a następnie eksplodowała setką pajęczków, które rozeszły mi się po łbie i ciele i tak powstały zupełnie nowe połączenia pomiędzy tym, co do tej pory nie było we mnie skomunikowane.

Szamanka zaprowadziła mnie do swojego domu, mieszkała w pięknej willi otoczonej ogrodem, razem ze swoją matką i ojczymem – tam pokazała mi kilka plastikowych pojemników, w których sama hodowała grzyby halucynogenne. Podarowała mi ich sporą paczkę, a potem kochaliśmy się ostro w sypialni jej rodziców. Ta kobieta – w ciągu dnia tak zorganizowana, władcza i miłująca wolność, w łóżku lubiła być sprowadzona do natury

zwierzęcej, dociśnięta do poduszki siłą wszystkich mięśni, uderzona w twarz, uderzona w pośladek, z dłońmi spętanymi czerwoną liną za plecami stawała się własnością, która nie wyrażała żadnego sprzeciwu, a każda komórka jej naprężonego ciała błagała o więcej.

Nigdy nie dałem ponad miarę. W gruncie rzeczy wcale jej nie ufałem.

Któregoś dnia podczas oczyszczania pojemników za pomocą lampy ultrafioletowej straciła wzrok i wtedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Odzyskała widzenie kilka dni później.

Był marzec – trudno znosiłem pogodowe przejścia, zmiany roku, zmiany pór roku, w ogóle wiele rzeczy trudno znosiłem, najgorzej zaś siebie. Jeśli zapytalibyście mnie jak się czuję albo jeszcze gorzej „co u mnie?” to jednego dnia mógłbym wam odpowiedzieć, że zaraz zdobędę świat, a drugiego mój telefon byłby schowany gdzieś głęboko, pod fotelem, a przecież nikt z was nie przyszedłby do mnie, nie zapukał do drzwi, oprócz Me-Gan, więc nie odpowiedziałbym nic. Od lat tańczę na sinusoidzie nastrojów, wahając się między hipermanią – nieuzasadnioną ekscytacją i dziką radością, a nostalgią za życiem z kobietą, która chciała dać mi wszystko, ale ja pewnego dnia nie chciałem dać jej już niczego

więcej, więc wybrałem samotność i maszynę do pisania, która ostatecznie także stanowiła prezent od niej – sprzedałem ją w antykwariacie na Pradze, kupiłem chleb i kilka paczek papierosów. Dopadała mnie depresja, którą umiejętnie podsyciałem pisaniem powieści wspomnieniowej i zaleganiem w łóżku przez pół dnia, którego to nawyku nauczyła mnie właśnie Ona. Nieraz zastanawiałem się czy depresją da się zarazić i teraz wydaje mi się, że tak; na pewno da się zarazić stylem życia, który do depresji prowadzi. Szlachetniej jest, jednak cierpieć na antresolach wysokich kamienic, pod grubymi, okrytymi satyną kołdrami, w obszernych pokojach z kasą na koncie, która spada, bo urodziłeś się akurat dobrze, niż cierpieć samemu w maliżnie i chłodzie, fajniej jest cierpieć w towarzystwie, chociażby psa. To dlatego niektórzy bezdomni mają psy. Zawsze daję im pieniądze. Nienawidzę widoku głodnych ludzi, a widoku głodnych zwierząt jeszcze bardziej. Szczególnie ptaków. Bo po nich niewiele widać. Nie możesz ocenić jak bardzo są wygłodzone o ile już nie ślaniają się na nogach albo nie leżą rozjechane przez volkswagena. Gdziekolwiek mieszkam stawiam karminiki. Czasem też rzucam w kruki i wrony orzechy włoskie, takie w łupinach, rzucam przez okno w ich stronę. Podnoszą łupiny, wlatują na mur czy drzewo i upuszczają orzechy na chodnik, potem wydziobują miąższ ze środka. To mądre

ptaki. Mądrzejsze od wielu ludzi. Ale i tak czuję się winny; orzech to żenujący haracz za zrujnowanie świata zwierząt.

Remedium na chandrę stanowi medytacja (*Niech wszystkie istoty będą szczęśliwe; oby zawsze miały co jeść i co pić; oby zawsze mogły ochronić siebie i swoich bliskich; oby były wyzwolone*), boks i wyregulowanie dopaminy. Hajs też lubię. W większości wypadków, na pewno w moim, wystarczy wypocić się na treningu, dostać po twarzy parę razy i wyprzewadzić sparing partnerowi lewy prosty, prawy sierp, aby odświeżyć w sobie echa mocnej młodości. Wieczorem usiąść do godzinnej *vipassany* i zasnąć przed 23.00. Kilka takich dni, wspartych niskotłuszczową dietą, świeżymi sokami, odcięciem internetu i powracałem do dobrej kondycji, która, odkąd rzuciłem palenie, regenerowała się znacznie szybciej. Myślę, że większość wypadków *depresji* da się zwalczyć zmianą stylu życia. Jednak trudno jest zmienić styl, który się kocha.

Studiowanie literatury nakarmiło moje wyobrażenia wizjami wyklętych poetów i prozaików, skazanych na porażkę alkoholików ćmiących papierosy gdzieś nad brudną maszyną, pomiędzy rozrzuconymi gaciami i śpiącą duperą poznaną w barze. Ileż ponurej ekscytacji niosły w sobie

opowiadania Bukowskiego, poematy Rimbauda, czy skromny „Pantofelek” zmarłego przedwcześnie Bursy.

Zawsze miałem słabość do tych, którym się nie powiodło, do tych, których niezrozumienie i inność wyrzucały na marginesy życia – i właśnie tam odnajdywali oni zupełnie nowe, intymne światy: patrząc na rój ludzkich skorup jak na formy obce – portretowali je bezwzględnie, ze swojej biedy i cierpienia budowali cokolwiek, na którym potem postawieni przez tych, którzy za życia ich nie dostrzegali, wyglądali ponad sprawy ludzkich mas okiem czystym i przenikliwym. Ale wreszcie przejrzałem fałsz poetów – tych wiecznych dzieci i cierpiętników, zagubionych chłopców z ich kajecikami, papierosami i butelkami wódki ustawionymi na stole – byli to uciekinierzy nie tylko z życia społecznego (to jeszcze można by im wybaczyć), ale przede wszystkim uciekinierzy z życia własnego – trawiący czas, siły i talenty na nieśmiesznych zabawach, których finały bywały zazwyczaj tragiczne.

Miałem 27 lat, nazywałem się Nikodem Nagi, byłem pisarzem, byłem postsybarytą, używałem słów, których ludzie czasem nie rozumieli, przez co nie rozumieli mnie. Miałem czterdzieści siedem tysięcy na koncie i motocykl Ducati Monster pod kamienicą. Byłem zrodzony z matki Polki i ojca Syryjczyka, miałem dziewięcioro rodzeństwa

pół- krwi i przez to sporo spraw było we mnie na pół podzielonych lub dwa razy pomnożonych.

– Hmm?

– Czy możesz *come* to Baja za dwa dni?

– Muszę to przemyśleć. Daj mi trochę czasu.

– Dobrze bracie, *okay*. Jeśli nie, poradzę sobie.

Zawsze sobie radzę.

– Wiem Ihab. Jestem z Ciebie dumny.

– *I love you brother* – powiedział, a ja nie mogłem mu uwierzyć. Bo jak można kochać kogoś, kogo się nigdy nie widziało poza ekranem? Kogo się nie dotykało, z kim się nie śmiało, nie biegało, nie skakało po kosmicznej trampolinie wrażeń? Matka zawsze mi powtarzała bym nie ufał Arabom. Szczególnie ojcu.

– Niko, zaraz mamy saunę, pamiętasz? – Me-Gan ożyła w fotelu i odłożyła katalog mebli.

– Muszę kończyć. *Bye man* – Rozłączyłem się czerwona, po dłoni przeszedł dreszcz.

– Czego chciał twój brat?

– Żeby pojechał na Węgry i przewiózł go do Niemiec.

– Nie może polecieć samolotem?

– Jego paszport jest warty pewnie mniej od karty miejskiej.

– Bo...?

– Jest uchodźcą z Syrii.

Nie ukrywałem tego przed Me-Gan, ale też nie fleksowałem się ze swoim pochodzeniem, bo co to to za informacja, ważna czy nie, jeżeli zapytała, to i powiedziałem, i tak nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Była zbyt młoda, a zatem zbyt egocentryczna aby spoglądać z dostateczną uważnością na innych.

Do boksterskiego ośrodka Legii przy Waldorffa wpuszcza nas Ł., wielki, łysy typ, którego poznałem na warsztatach poetyckich. Sauna jest tajna. Covid. Wszystko zamknięte, dla tych, którzy nie znają przejść.

Na recepcji daję sześć dych za wjazd. Ja stawiam. Tak to jest spotykać się z ledwoletnią, to kosztuje; co za to kupujesz? Dumę. Że wreszcie ty możesz coś komuś dać, ofiarować, że koło życia kręci się, kręci #fortuna, dawniej my byliśmy małośletni i to nam dziewczyny z dobrych domów kupowały sandwicze, papierosy i piwo na mieście. Nie mówiąc o tym nic nikomu, fundowały nam sny i poranki przy tostach z rostbefem i białym serem z ogórkiem kiszonym, a teraz ja jej. Tak w świecie trzeba żyć, trzeba zwracać, temu służy twoja praca. Spłacie mikrokredytów zaciąganych przez życie.

Sauna: jest spora nawet, z Me-Gan spływa makijaż i pot cały, siedzi w czarnej, koronkowej bieliźnie na białym ręczniku i widocznie gaśnie.

W ogóle się nie przygotowała. Bez maski pudrów i szminek jest jej coraz mniej, uchodzi, wychodzi przez szklane drzwi.

Liczę, że tu wypocę z siebie wszystko, wypocę całe zło, z którym przyszło mi żyć, wypocę lęk, bo telefon od arabskich braci zawsze napawa mnie lękiem. Jacek Głazewski mówił, że lękamy się tego czego nie znamy, więc *Rozmowa Mistrza Polikarpa ze Śmiercią* obraca lęk przed śmiercią w strach. Strach jest lepszy, strach jest ogarnialny, strach jest widzialny, jest konkretny. Lęk to głębokie: *nie wiem*. Ogrom niepokoju.

Kiedy skończyłem osiemnaście lat napisał do mnie Adib – pierworodny, że jest moim bratem, i że ojciec nie żyje. O ojcu wtedy wcale nie myślałem, siedziałem u ziomala na Nowowiejskiej i graliśmy w FIFĘ 11. Przestraszyłem się. Nie tego, że taty już nie ma, nie było go przecież i wcześniej, ale tego, że zostałem przez Syrię odnaleziony, namierzony, zdekonspirowany i teraz moja tożsamość, moje korzenie tkwiące pod ziemią przez tak długi czas zostaną wydobyte na powierzchnię, a ich stan jest co najwyżej marny, odwodniony. Nie byłem gotowy do tego by konfrontować się z karmiczną arabskością odkąd w przedszkolu koledzy zapytali mnie jak się nazywa mój tata. Odparłem, że *Mohamed*, więc wołali potem *Muha*, więc potem wołałem nie mówić. Wstydziłem się. Panie pytały czemu

jestem taki żółty. Matka mówiła, że to od karotenu – łądowała we mnie litry soków marchwiowych, a ja w to wierzyłem i one też musiały. Potem w szkole, te wszystkie pierdolone drzewa genealogiczne oblewały mnie zimnym potem. Albo: *kim jest twój tata?* – *Ja nie mam ojca* – odpowiadałem. Zignorowałem wiadomość od Adiba i wybrałem Arsenal z Tierrem Henrym na ataku. Minęło wiele miesięcy zanim odpisałem.

– Spotkałeś go w ogóle wcześniej? Jaką masz pewność, że to twój brat? – pytał Ł., z piersią nagą, skroploną potem, rozbudowaną jak Dworzec Centralny.

– Przez whatsapp rozmawiamy od trzech lat! Moje starsze rodzeństwo, z pierwszej żony z nim mieszkało, wysyłał mi zdjęcia taty, stary, to bez wątpienia jest mój brat. Myślisz, że Arabowie robią nowy przekręt? "Na brata"?

– Przyrodniego. Niko, przecież możesz za to trafić do pierdła. To jest przemyt. Niczego nie jesteś winny temu człowiekowi. Jest obcy. Pamiętaj, że najważniejsze jest dziś zadbać o samego siebie. Z więzienia nikomu nie pomożesz.

– To mój brat.

– Przyrodni.

Wlewam wody w węgle. Sauna paruje

srebrzystością kropel.

Trzy serie: grzanie – zimny prysznic – relaks – grzanie – zimny prysznic – relaks – grzanie... Przed sauną stoi wielka bania. Mikrobasen wypełniony zimną wodą. Me-Gan roi, że od tygodnia *ta woda tu stoi* i mówi jakie szczepy grzybów i bakterii zdążyły w niej już ożyć (ma pisać maturę z biologii i pójść na medycynę, i zostać seksuologką – naprawdę!). Nagi wskakuję do środka. Zanurzam się. W zimnej, terakotowej wannie, w której z powodzeniem można by chrzczyć dorosłych, rozpływam się cały, jest mnie coraz mniej. Uchodzę pod powierzchnię wody.

list Ihaba, 2 maja, część druga [...]

Nie wiem skąd zacząć? z Syria, z Turcja, z Grecja czy może Albania? O Turcji opowiadałem Ci przez whatsapp, widziałeś mnie tam, przy fontannie jak paliłem papieros – było mi źle, chciałem opuścić te miejsce – tęskniłem za ojcem, tęskniłem za Tobą, byłem chory na serce. Nie chcę już wracać do tych dni bracie. Spróbuję opowiedzieć ci o tym jak dostałem się do Grecji.

Z Turcji było się wydostać trudno. W okolicach granicy jest wielu szmuglerów, ale oni to często oszuści i nieudacznicy, mają jadowite zęby – musisz bardzo, bardzo uważać.

Za pierwszym razem złapano nas w samochodzie już po greckiej stronie. Auto nagle staje, otwiera drzwi. Wtedy widzisz światło latarek w oko i żołnierzy w mundur, a potem czujesz, że jest ci bardzo zimno. Słychać krzyki i para leci nam z ust. Przecinają ją

strumienie światła padające na twarz i blachę samochodu. Wychodzimy, trochę nas szarpią, ale to jeszcze nic strasznego. Tylko czujesz taki zawód w sercu, że się nie powiodło, i że choć tak bardzo chciałeś to, jednak nie tym razem. I czujesz jeszcze upokorzenie – za to, kim jesteś.

Grecka straż zabiera nas do namiotu w górach i chce spisać dokumenty. Każą siadać. Jak ktoś ma paszport, jak facet obok mnie – to go drą, na jego oczach. I on wtedy płacze.

Wuj Amar doradził mi bym nie brał paszportu – zostawiłem go w Turcji u matki, wysłał mi go gdy będę bezpieczny. Gdy powiedziałem, że nie mam dokumentu, to żołnierz mnie uderzył po głowie, ale to nie jest strasznego. Więc muszę podawać mu nazwisko, a on musi mi wierzyć: Ihab Nagi.

Czy wiesz bracie, co znaczy nasze nazwisko? Znaczą: „najlepszy przyjaciel”, czasem też: „najlepszy przyjaciel proroka”. Ale proroka tam z nami nie było.

Trwa takie siedzenie kilka godzin. Zwykle w ciszy. Dużo się wtedy myśli. Potem, kiedy słońce stoi wyżej i jest złapanych dużo osób to wsadzają nas do ciężarówki, a czasem do autokaru, co jest gorsze bo na niego trzeba czekać. Nasze oddechy już nie parują, kiedy ktoś ma, to pali papierosa. Kiedy ktoś ma jedzenie to się dzieli z innymi. My nie jesteśmy biedni bracie. W domach mamy dużo. Musisz mieć pieniądze, jeśli chcesz przejść tą drogę. Nie ma pieniędzy, nie ma drogi.

Ale nawet dolary, nawet euro nie mogą kupić tobie wolności. Musisz ją zdobyć sam. Wsiadamy i wywożą nas 20–30 kilometrów od granicy. Jak ludzie siedzą i paka trzęsie, to opowiadają historie żeby się rozweselić. Kobiety milczą lub płaczą. To było moje pierwsze upokorzenie i mnie jeszcze wcale nie było do śmiejącej twarzy. Przypomniaty mi się wtedy wersy z Koran: „Oni kupili błędzenie za przewodnictwo”.

Potem z kolegą znalazłem innego szmuglera. Miał nas transportować łodzią i zapowiadało się to bardzo ekscytująco, ale i bardzo niebezpiecznie, bracie. Pamiętam jak mówiłeś mi abym tego nie robił, ale nie czułem abym miał inny wybór. Przepraszam, że cię nie posłuchałem. Była godzina 1:00 w nocy i nawet nie wypłynęliśmy z portu, bo straż przybrzeżna (mają niebieskie mundury) zatrzymała nas na łodzi przed odbiciem od brzegu. Turcy biją dużo mocniej od Greków, pomimo tego, że mówię po turecku i mieszkalem w tym kraju 10 lat, ale oni i tak traktują mnie jak odpadek. Syryjczyk nigdy nie będzie w Turcji na takich samych prawach jak Turek. My pracujemy tak samo ciężko, wszyscy mówimy w ich języku i mamy tutaj domy, ale turecki rząd jest bardzo rasistowski. Syryjczyk albo Kurd za taką samą pracę jak Turek dostaje połowę, a czasem wcale. Jest oszukany i nigdzie nie może się wyżalić. Uchodźcy nie mają prawie żadnych praw w urzędach, mamy utrudniony dostęp do szkół, nikt cię nie traktuje serio i właśnie dlatego nie mogłem tam

dłużej zostać. Ja jestem serio bracie. Mam swoje marzenia, a w Turcji, gdzie każdy patrzy na ciebie jak na pies, one są niemożliwe do stania się prawdą.

W porcie zabrali nas na przybrzeżny komisariat – to duży biały budynek z niebieskimi napisami. Zamknęli mnie w celi, nigdy wcześniej nie byłem w celi. Czuję się źle i myślałem, o tym, co by na to powiedziała mama, jakby mnie teraz zobaczyła. Potem przyszedł świnią i powiedział, że „wybije mi z nerka wycieczki”. Zabrał mnie do białego pokoju przesłuchań z metalowym stołem i parą drzwi po dwóch stronach; chciał adresy oraz telefony do szmuglerów. Potem przyszedł drugi, bez jednego oka. Ja nie miałem im czego dać, ale oni mi nie wierzyli. Ten bez oka zaczął mnie dusić i bardzo śmierdział, a drugi dmuchał mi dymem papierosa w twarz, ale to nic jest strasznego, bo i tak miałem ochotę zapalić. Potem znów się pytali, ale ja nie miałem im czego dać. Odesłali mnie do celi bez jedzenia. Trwało to chyba dwa dni.

Potem, ten, co palił chciał udawać miłego i poczęstował mnie papierosem. Schowałem go do kieszeni i powiedziałem mu, że zapalę jak wyjdę.

Wtedy on się zdenerwował i chciał podpalać mnie zapalniczką, ale był sam, więc wyrywałem mu się. To już było trochę strasznego. Krzyczał, że miejsce dla syryjskich śmieci jest w obozach, jak nie potrafię docenić wspaniałej, „tureckiej demokracji” i chcę stąd uciekać. Rozumiesz bracie?

Wreszcie wyszedł drzwiami po lewej, to pomyślałem, że nie mam nic do stracenia, bo już gorzej nie będzie, więc wstałem i otworzyłem te po prawej. A tam zobaczyłem pusty, biały korytarz. Zacząłem biec i zobaczyłem drzwi awaryjne, pchnąłem je, i wtedy one zaczęły wyć, ale potem stały się niemowa, jak je zamknąłem. Zobaczyłem metalowe schody i poczułem morskie powietrze na twarzy, bo już byłem na zewnątrz i był ładny dzień. Na dole stał parking i choć bardzo chciałem biec, to powstrzymałem się, bo jakieś 20 metrów dalej zobaczyłem dwóch mężczyzn palących papierosy, a oni jeszcze mnie nie. Zszedłem dość szybko i zobaczyłem otwartą bramę, ale najpierw musiałem minąć tych dwóch. Jak się zbliżałem, jeden z nich obrócił się i popatrzył na mnie, a ja do niego powiedziałem „güle güle”, czyli „do widzenia”, a ten machnął ręką, bo myślał, że jestem już zwolniony. Byłem już przy metalowej bramie, kiedy na schodach ukazał się tamten, co mnie przestuchiwał i zaczął krzyczeć, żeby mnie łapać. Bracie. Nigdy w życiu nie biegłem tak szybko. Wyskoczyłem za bramę, a z jej budki wybiegł strażnik i na pewno miał broń. Wyobraziłem sobie jak strzela, jak kula wbija się w moją głowę i jak padam na bruk, widzę krew, ale wszystko jeszcze czuję, słyszę ich głosy i co by na to powiedziała mama. Jakby mnie opłakiwała. I że mały Suhaip byłby płakał.

Skręciłem nagle, wpadłem w uliczkę portową i kręciłem tak jak mogłem, tylko oby nie zawrócić.

Styszałem jeszcze ich krzyki. Myślałem, że dusza opuści moje ciało. Nie jestem biegaczem, ale wtedy biegłem jak sarna. Zaczął mi się kończyć oddech, bo za dużo palę i nawet zacząłem się modlić, choć bardzo rzadko to robię (tylko nie pisz tego mojej mamie i siostrze ani naszym braciom – najlepiej w ogóle to usunąć). Ludzie stukali się w głowy i spoglądali na mnie jak na szaloną osobę, którą chyba się stawiałem, ale wtedy jedna piękna dziewczyna się do mnie uśmiechnęła i to był dobry znak. Wpadłem na schody i wbiegłem na dach dużego domu. Schowałem się tam za kominem i słuchałem. Serce biło jak zwariowane na każdy szmer i głos i skóra moja była gęsią. Czekałem tak przez wiele minut, a potem godzin dopóki się nie ściemniło. Wieczór był piękny i ciepły. Bardzo chciało mi się pić i chciałem poszukać wody, ale stałem jak posąg w Palmirze zanim Turcja ją zbombardowała. Wreszcie uspokoiłem się i uwierzyłem, że już mnie nie znajdą. Wyciągnąłem papierosa, który był złamany, ale skrzyłem i zapaliłem go. Patrzyłem na granatowe morze bracie, nad nim krzyczały mewy i wiedziałem, że nie mogę zostać w Turcji.